



Dość ważnym elementem życia wyspiarzy, było podróżowanie na stały ląd lub między wyspami. Znając mniej więcej zachowanie się morza o poszczególnych porach roku, dość regularne zmiany sezonowe wiatru, sztormów i pory deszczowe, z góry układali swe plany podróżnicze. A lubili podróżować, bo przecież sami (ich przodkowie) kiedyś wyruszyli z głównego lądu na podbój wysp. Teraz w okresie spokojnego morza i wiatrów, zwanych RAY – wiejących ze wschodu wyruszali w rejs.

Całość eskapady poprzedzał jak zwykle odpowiedni rytuał i obrzęd. Trzeba było załatwić sprawy z duchami, bo przeciecz morze to nie przelewki. Duże kanoe mogące pomieścić nawet kilkanaście osób, zaopatrzone w maszt i żagiel oraz odpowiednią platformę na górze, ruszały w morze na jego łaskę i niełaskę. Głównie chodziło o wymianę handlową, utrzymanie więzi z rodzinami i klanami oraz wymianę informacji i niekiedy nawet poszukiwanie nowych panien do małżeństw.

Najpierw do brzegu, do swoich, a później wzdłuż wybrzeża najczęściej na zachód do sąsiadów. Gdy w ciągu kilku miesięcy zaczęły zamieniać się wiatry na zachodnie same pchały ich z powrotem do domu. Umiejętność wykorzystywania sprzyjających sił natury gwarantowały powodzenie całej wyprawie i ułatwiały zadanie.

Powracający witani byli niemal jak bohaterowie przywożący prezenty i wieści oraz to czego nie było na wyspie. Poddawani odpowiednim czynnościom, zgodnie z „kastomem” kończono wyprawę odpowiednim obrzędem.

Podróże lądowe na duże dystanse raczej należały do rzadkości. Duża doza nieufności w stosunku do przybyszów sprzyjały odizolowywaniu się od sąsiadów. To znów sprzyjało tworzeniu się różnic językowych i kulturowych, ale i w tym samym czasie pozwalało na pielęgnowanie zawiści, braku zaufania i powiedzmy delikatnie dużej niegościnnosci. Ewentualny przypadkowy włóczęga szybko marnie by skończył, a jego kości szybko by białały gdzieś w buszu.

Nie powstały więc żadne większe szlaki komunikacyjne czy drogi. Nie wymyślono też nawet koła, bo transport nie był konieczny. Pozostały tylko ścieżki między sąsiadującymi ze sobą wioskami, no chyba, że były ze sobą w wojnie. Taka swoista pajęczyna ścieżek pokrywająca ląd.

Tak, jak kiedyś mały Jasio się począł i narodził, dorósł i został mężczyzną, poczym sam

Co widział 'Jasiu' sto lat temu w Papui - opowieść piąta

Wpisany przez ks. SAC WD

poniedziałek, 12 listopada 2012 14:08

przekazał życie kolejnej generacji następców swojego klanu, tak też zgodnie z kolejną rzeczą przyszła na niego kolej by złożyć swoje kości dokonując tym samym swego pracowitego żywota. Śmierć gościła dość często w życiu i nie była czymś wyjątkowym. Była nieznana, tajemnicza, a wręcz mistyczna, ale zawsze towarzyszyła codzienności. Nigdy nie była totalnym końcem. Jedni wierzyli, że duch przechodzi do innego świata lub po naszymu do innego wymiaru, inni uważają, że zostaje „masalajem” lub jakimś innym duchem, a bywa nawet, że wchodziły tu w rachubę elementy pewnego rodzaju reinkarnacji. Stąd wzięło się przekonanie, z takim zmarłym duchem trzeba było pogodzić się, załatwić zaległe zobowiązania, a nawet go udobruchać zanim odszedł i pogrzebano ciało. A nuż później zamiast pomagać, chronić i obdarowywać obficie, będzie tylko szkodził, a po co to komu taki ambaras w życiu. Przede wszystkim trzeba było takiego zmarłego pożegnać. No i w niejednym miejscu trzeba dowiedzieć się oczywiście kto jest przyczyną jego śmierci. W wielu miejscach nie akceptuje się naturalnych przyczyn śmierci. Ktoś zawsze musiał się za tym kryć. Był on przyczyną choroby, „sangumy”, podającym lub organizującym truciznę itp. Trzeba więc było się dowiedzieć kto i pomścić „wantoka” (osoba mówiąca tym samym językiem, ale praktycznie chodzi o członka rodziny). Jak w przypadku osób starych nie było to zbyt nachalnie praktykowane, to w przypadku nagłych śmierci młodszych członków klanu, praktyka ta była bardzo ważna. Swoją drogą nawet do dziś, jeśli w ośrodku zdrowia lub szpitalu nie potrafią sobie poradzić z jakimś przypadkiem lub nie chcą jego zgonu u siebie to odsyłają pacjenta do domu mówiąc mu, że to „sik bilong ples” (choroba pochodząca ze wsi i szpitalowi nic do tego). I najśmieszniejsze, że to jest traktowane jako racjonalne wytłumaczenie choroby i wraca się do wsi szukać przyczyny i lekarstwa przez „glasmana” (czarownika), aż koleś zejdzie spokojnie z tego świata.

Wyciągano więc informacje od zmarłego różnymi obrzędami, w których im lepsza wyobraźnia prowadzącego ceremonię odpowiedniego człowieka, tym lepiej i ciekawsze rozwiązania. Nie są rzadkością nawet listy pisane z zaświatów i przysyłane nawet pocztą, czy sny i żądania zmarłych. Materialność i duchowość światów nie przeszkadzają sobie tutaj zupełnie, byle osiągnąć odpowiedni rezultat. Nie są rzadkością również obrzędy wywoływania duchów itp. Każde więc zdarzenie nie mające w danym momencie racjonalnego wytłumaczenia – uznanego przez „glasmana” – mogło więc służyć za narzędzie gry, represji, lub zastraszenia. Wystarczyło je tylko ubrać w odpowiednią szatę. Zadzieranie z szamanem było zupełnie nieopłacalne i oznaczało same straty na całej linii.

W jednych rejonach zwłoki układano na noszach i ustawiano na drzewie lub podwyższeniu, gdzie wyznaczona odpowiednia osoba pilnowała zwłok, obmywając je odpowiednio, aż ciało się zupełnie rozpadło. Poczym wybierano odpowiednie do obrzędów kości, a resztę wyrzucano do buszu, lub tam gdzie układano zwłoki na ziemi zmiotano odpadające ciało do dołu lub rowu, a resztę kości jakie pozostawały po selekcji wrzucano razem z resztą. Nad wodą często spuszczano zwłoki człowieka w jego własnym „kanoe” na rzekę i spławiano z nurtem, gdzie dzieła dopełniały gady, deszcz i słońce. Gdzie indziej zmarłych chowano w jaskiniach lub na półkach w trudno dostępnych dla innych miejscach pomiędzy górkami, najczęściej na siedząco. Do rzadkości należało chowanie w ziemi. Znane są również obrzędy kanibalizmu obrzędowego na zmarłych.

Później po tygodniach lub miesiącach w zależności od rejonu i ważności zmarłego następowało oficjalne zakończenie żałoby. Następował duży „bumkaikai” (wspólne jedzenie – taka nasza

Co widział 'Jasiu' sto lat temu w Papui - opowieść piąta

Wpisany przez ks. SAC WD
poniedziałek, 12 listopada 2012 14:08

stypa). Takie obżarstwo, na które pracowała cała wioska w przypadku ważniejszych zmarłych lub cały klan w sytuacji osoby z szarej strefy. Na takie darmowe obżarstwo ściągali wszyscy z okolicy. Wszystko musiało być zjedzone, ale również nie mogło zabraknąć dla nikogo. Byłby to duży wstyd i ujma dla organizatorów, włącznie z potrzebą powtórzenia całości.

ks. SAC WD